

# W bezbrzeżnym szale.

Z zapisków policyjnych zestawiał S. K.

Dyrektor policyi i agent.

Późnym wieczorem, w mroźny zimowy dzień zapukał do drzwi kancelarii dyrektora policyi znany w szerokich kołach agent Karabiński. Na głośno wypowiedziane słowo „proszę“, nacisnął klamkę i stanął przed obliczem swojego szefa.

— Panie Karabiński — przemówił dyrektor — posłałem po pana w bardzo ważnej sprawie, nie cierpię zwłoki. Ekscellencya bardzo się nią interesuje. Ale — czy pan już zjadł kolację?

— Do usług pana radcy rządu — odrzekł Karabiński, uśmiechając się pod wąsem.

— To bardzo dobrze — słuchaj pan więc uważnie!

— Pan radca pozwoli, iż ważniejsze szczegóły będę notował.

— Pisz pan, ot tam przy stoliku — powiedział dyrektor, wskazując na stolik obok okna.

Karabiński skłonił się, wyjął z zanadru czarną skórzaną notatkę, tak dobrze znaną jego liczny klientom, siadł przy stoliku i szepnął:

— Słuszę panu dyrektorowi!

Dyrektor, zapaliwszy papierosa, rozsiadł się wygodnie na fotelu za biurkiem, nad którym widniał portret cesarza i przemówił:

— Przedwczoraj był u mnie hrabia Grzymski, znany i szanowany powszechnie członek tutejszej arystokracji. Opowiedział mi, że przed kilkunastu dniami — o ile zapamiętałem — przed dwoma tygodniami, gościł u niego dwie kobiety, matka i córka, dalekie jego krewne, mieszkające stale na wsi. Przyjechały do Lwowa dla załatwienia rozmaitych interesów i spraw majątkowych. Przed miesiącem umarł mąż starszej, a ojciec młodszej; brat zaś nieboszczyka, niejaki doktor Ziółkowski, przeprowadził się do nich na wieś i objął zarząd majątku. Uregulowanie spraw spadkowych wymagało ich obecności we Lwowie. Zabawiły tutaj cztery dni i przed tygodniem wyjechały. Przedwczoraj otrzymał hr. Grzymski od doktora Ziółkowskiego telegram z zapytaniem, kiedy jego bratowa z córką powróci.

Zapytanie to przeraziło ogromnie hr. Grzymskiego, gdyż panie Ziółkowskie w jego oczach na dworcu kupiły bilety do Złoczowa, a on był obecny na dworcu aż do odejścia pociągu. Zrozpaczony udał się do Ekscellencyi, a z jego polecenia do mnie.

— Pan dyrektor pozwoli...

— Jeszcze nie skończyłem, panie Karabiński. Ponieważ pan byłeś zajęty sprawą morderstwa Stoffów, wysłałem innego agenta do Złoczowa. Ten stwierdził, iż w dniu podanym przez hrabiego z pociągu, którym odjechać miały jego krewne, wysiadły w Złoczowie dwie kobiety w żałobie, jedna starsza, druga młodsza, dalszy jednak ślad ich zaginął. Z mego polecenia wyniki dochodzenia przedłożono prokuratury w Złoczowie, a przed chwilą otrzymałem stamtąd telegraficzne polecenie aresztowania doktora Ziółkowskiego, który zbiegł w kierunku Lwowa.

— Do usług pana dyrektora, już go widziałem — przerwał Karabiński, chowając spieszenie notatnik.

— A to doskonale się złożyło! — zawołał dyrektor, zacierając ręce. — Aresztowanie doktora pójdzie zatem, jak z płatką!

— Bynajmniej, trzeba się będzie przedtem dobrze namysleć! — zaoponował doświadczony agent.

— Ależ tu niema się co zastanawiać! Zbrodniarza trzeba wziąć pod klucz! — odparł żywo dyrektor, podnosząc się z krzesła.

— Pan dyrektor wybaczy mi moją śmiałość, ale doktor Ziółkowski nie jest wcale zbrodniarzem! — rzekł agent.

— Oho! skądże ta pewność?

— U pana dyrektora był hr. Grzymski, u mnie zaś w domu był dr. Ziółkowski.

— No... to i cóż z tego? — przerwał ostro dyrektor.

— Przedstawił mi całą sprawę, nie tając, iż prokuratury i żandarmeria ścigają go, jako sprawcę zniknięcia bratowej i jej córki, posadzając go, iż w ten sposób pragnie zagarnąć spuściznę po bracie. Wczoraj przeprowadzono u niego ścisłą rewizję, zabrano wszystkie papiery, a po przesłuchaniu służby, przyaresztowano stangreta, który jeździł na dworzec w Złoczowie po owe zaginione damy.

— A... widzi pan... są więc pewne poszlaki! — zauważył dyrektor.

— Według mego zdania bardzo słabe. Zeznanie mego kolegi, który rzekomo stwierdził, iż z krytycznego pociągu wysiadły dwie panie w żałobie...

— Tak! To stanowczo stwierdzono!

— Stwierdzono — zauważył Karabiński — iż wysiadły dwie panie w żałobie, ale nikt nie poświadczył, iż były to panie Ziółkowskie. Aresztowany stangret, który służy u nich od dzieciństwa, przysięga na zbawienie duszy, że z pociągu nie wysiadły. Szukając ich w westybulu, zobaczył tylko ich kufry.

— A to dziwne! Więc cóż pan sądzisz? — zapytał dyrektor.

— Ja przypuszczam, że panie te są jeszcze we Lwowie!

— Co?... Panie Karabiński, jak to mam rozumieć? Przecież hr. Grzymski był sam na dworcu, chyba nie posadził go pan o kłamstwo!

— Ja też go jeszcze nie posadzam — odparł agent.

— Jaktó... jeszcze nie?

— Nie można wiedzieć, proszę pana dyrektora, co się z tego jeszcze wykluje! Pan dyrektor daruje, jeśli zapytam, czy stangret hrabiego był już przesłuchany?

— Wobec zeznań hrabiego uważałem to za zbyt cenne — rzekł dyrektor — a zresztą oddaję sprawę w pańskie doświadczone ręce. Proszę tylko pamiętać, iż bardzo mi na niej zależy. Rób pan, co uznasz za stosowne, wydatków nie żałuj, a jeśli potrzeba, dobierz sobie którego z kolegów do pomocy.

Po tych słowach wyjął dyrektor z kasetki żelaznej, znajdującej się w biurku, dwa banknoty stukoronne i, wręczając je agentowi, rzekł:

— Proszę napisać pokwitowanie. Po skończeniu sprawy przedłożę mi pan rachunek.

Karabiński napisał krótkie pokwitowanie i, skłoniwszy się, powiedział:

— Za pozwoleniem pana dyrektora wezmę sobie do pomocy kolegę Trusza.

— Dobrze! Życzę powodzenia i oczekuję niebawem relacji — rzekł dyrektor, zegnając agenta lekkim skinieniem głowy.

Gdy się drzwi już za nim zamknęły, wyszeptał mimowiednie:

— Nie można wiedzieć, co się z tego wykluje!

## Internowanie w hotelu.

Agent Karabiński udał się prosto z gmachu dyrekcji policyi do kawiarni wiedeńskiej. Pod oknem w pierwszym pokoju siedział zatopiony pozornie w studyowaniu gazety mężczyzna lat około czterdziestu, na którego twarzy malował się jakiś lęk i zakłopotanie.

— Dobry wieczór, panie doktorze! — przemówił Karabiński, wieszając kapelusz i zdejmując paltot.

— A... to pan! zawołał zagadnięty i uściśnął mocno rękę agenta. Karabiński kazał sobie podać herbatę i, siadając na czerwonej kanapie, spytał:

— I cóż? Jeszcze pana doktora nie przyłknęto?

— Dobrze panu żartować! Siedziałem jak na rozżarzonych węglach, głowy nie pokazałem z poza gazety.

— Głowa do góry! Karabiński słowa nie złamie! Byłem teraz u dyrektora w pańskiej sprawie.

— Tak? — szepnął doktor. — Jakże on zapatruje się na moje nieszczeście?

— Radby pana zamknąć! — odparł krótko agent.

— Ależ to niemożliwe! Pan przecież wie, iż jestem niewinny.

— Pomału, pomału, kochany panie, tego jeszcze nie wiem! — rzekł agent, delektując się aromatyczną herbatą. — Nie wiem, co się jeszcze z tego wykluje i na razie... aresztuję pana...

— Pan... pan... mnie? Panie Karabiński, przecież... — zaczął szeptać doktor drżącymi ustami.

— Tak! Ja pana — ale nie w imieniu prawa, lecz w imię pańskiego dobra! Ale żarty na bok! Panie doktorze Ziółkowski, jeżeli pragniesz, ażeby odkrył twoją bratową i jej córkę, a zarazem rozplątał intrygę, w którą pana wmieszano, musisz poddać się moim rozkazom.

— Rób, co uważasz za stosowne, niczemu się nie sprzeciwie — rzekł doktor i jakby na umocnienie przyrzeczenia, podał agentowi rękę.

— Przedewszystkiem pójdziemy do hotelu, wynajmijmy pokój, pan się położy spać, a jutro rano pojedziemy do Złoczowa.

Powolnym krokiem wyszli obaj z kawiarni i skierowali się ku hotelowi Europejskiemu. W drodze Ziółkowski powtórzył agentowi szczegółowo historię kilku poprzednich tygodni.

Starszy jego brat Dezydery szczęśliwymi spekulacjami budowlanymi i parcelacjami dorobił się znacznego majątku i zakupił posiadłość ziemską w okolicy Złoczowa, gdzie zamieszkał z żoną i córką, licząc obecnie lat osiemnaście, panią niezwykłej urody. Przed miesiącem zmarł, nabawiwszy się na polowaniu zapalenia płuc. Na prośbę umierającego, objął dr. Ziółkowski zarząd majątku. W tym celu przeniósł się na wieś, co tem chętniej uczynił, iż był zapalonym myśliwym. Osieroczone kobiety zdały wszystko w jego ręce i dla uregulowania ostatecznej sprawy spadkowej wyjechały do Lwowa. O ile może wnioskować z dwu listów, jakie od nich w międzyczasie otrzymał, zajęły się szczęśliwie do Lwowa i zostały bardzo serdecznie przez hrabiego Grzymskiego przyjęte.

O wyjeździe obu kobiet ze Lwowa zawiadomił Ziółkowskiego telegraficznie Grzymski. Niestety, konie, wysłane na stację, wioły bez oczekiwanym pan. Zaniepokojony, zatelegrafował do hrabiego. Ten odpowiedział, że obie kobiety odjechały stanowczo w kierunku Złoczowa.

Ponowna depesza przyniosła taką samą odpowiedź. Sprawa stawała się coraz bardziej zawiązaną, zwłaszcza gdy stwierdzono, że kufry, nadane do tego samego pociągu nadeszły na miejsce przeznaczenia. Dr. Ziółkowski rozpiął listy na wszystkie strony i poprosił o pomoc władze bezpieczeństwa, które, rzecz dziwna, podejrzywały go, iż jest sprawcą zniknięcia, jeśli nie zamordowania poszukiwanych.

— Jako motyw czynu podsuwają mi chęć zagarnięcia spadku po bracie — zakończył Ziółkowski swoje opowiadanie, ciężko wdychając.

— Wszystko się wyjaśni! Pomału dojdziemy do prawdy, zaginione muszą zmartwychwstać — rzekł Karabiński, wchodząc w bramę hotelu.

Za wskazówką portjera obaj udali się na pierwsze piętro, gdzie numerowy zaprowadził ich do niewielkiego pokoiku. Agent wskazał ręką na łóżko i przemówił do doktora:

— W imię pańskiego dobra i w imię powodzenia naszych poszukiwań proszę pana położyć się spać i stawieć się jutro rano o dziesiątej na Podzamczu na dworcu. Dobranoc!

Po tych słowach uściśnął podaną dłoń i zszedł do portierni.

— Panie Ignacy — odezwał się do portjera — proszę pilnować mego gościa. Kartkę meldunkową ja wypełnię, a gdyby przypadkiem, który z moich kolegów kontrolował ubikacje hotelowe, proszę mu powiedzieć, iż ten pasażer jest pod moją opieką. Rano możesz go pan puścić na miasto bez przeszkody.

— Z przyjemnością panie inspektorze. Nie pierwszy to raz bawię się w dozorcę — odpowiedział portyer uśmiechając się jowialnie.

— Ale, co to za ptaszek? — spytał ciekawie.

— Tajemnica, mój panie Ignacy. Ptaszka dopiero chwytamy. Dobranoc!

## Pierwsze wywiady.

Następnego dnia rano około godziny ósmej dr. Ziółkowski niecierpliwie kręcił się w poczekalniach kolejowych, agenta nigdzie nie mógł odnaleźć. Do odejścia pociągu pozostawało tylko dwadzieścia minut.

Bezradny, stanął doktor w pobliżu kasy i już zamierzał spytać się policyjanta, czy nie widział gdzie Karabińskiego, gdy tenże stanął przed nim, niby z ziemi wyrosły.

— Dzień dobry! Czy doktor ma już bilet? — zapytał Karabiński.

— Jeszcze nie! Czekałem na pana.

— Proszę tedy kupić bilet do Złoczowa, wsiąść do pociągu, jechać na wieś i siedzieć tam cicho, dopóki pana nie zawezwę.

— Nie pojedziemy więc razem? Ja myślałem..

— Nie, kochany doktorze, ja pojedę w towarzystwie mego kolegi, pana Trusza odparł agent przedstawiając lekarzowi swego kolegę, człowieka w średnich latach skromnie ubranego.

Po tych słowach Ziółkowski posunął się ku kasie, a Karabiński i Trusz wyszli na peron. Przeszedłszy się kilka razy wzdłuż pociągu, agenci wsiadli do pustego przedziału drugiej klasy, upewniwszy się jednak wprzód, iż Ziółkowski wsiadł również do pociągu.

W czasie jazdy Karabiński skreślił koledze w ogólnych zarysach stan sprawy i dodał:

— Stwierdziłem u naczelnika, iż piętnastego